

JADWIGA MIGOWA.

PANTERKA.

(Powieść współczesna).

3)

Julian nie doczekał się dnia tego Stefę na ulicy. Cekał już przeszło kwadrans, kiedy pojawiła się Kazia, przystrojona w jakiś fantastyczny „toreczek” i płaszcz osobiwego kroju.

— Pan czeka na Stefę? — uśmiechnęła się słodko i fałszywie — o, to się jej pan nie doczeka. Wyszła jeszcze przed skończeniem urzędowych godzin. Powiedziała, że gwizdże na robotę i na biuro. Tak się wyraziła. Ona ma strasznie trywialne wyrażenia. Mnie trudno jest doprawdy coś takiego nawet powtórzyć. Mam zbyt dużo poczucia...

Szukała przez chwilę w myśli odpowiednio efektownego określenia.

— „Poczucia linii i barwy” — dokoićzyła tryumfująco.

Z niezmiernym upodobaniem stosowała zawsze w potocznej rozmowie zwroty, wyczytane w romansach i feljetonach dziennikarskich, przypinając je z powodu zupełnego braku wykształcenia jak najnieoczekiwanej i najnieodpowiedniej.

Julian nie miał wcale głowy do tego, by się zastanawiać w tej chwili nad poczuciem linii i barwy u poetycznej Kazi. Wiedział tylko, że Stęfa poszła sobie, że on jej już dzisiaj nie zobaczy i to przeświadczenie sprawiło mu straszliwy, tępy ból.

— A tak... dziękuję pani...

Kazia wsunęła mu delikatnie rękę pod ramię.

— Zatem odprowadzi mnie pan — wyrzekła swoją sfermentowaną słodyczą, tak jakby to było oddawna umówione — wiem przecie, że pan to zrobi chętnie.

Woźniewicz był zanadto grzeczny i łagodny, aby mógł się zdobyć na jakiś odruch protestu. Zresztą skoro nie miał zobaczyć Stefę, mógł odprowadzić Kazię. Wszystko mu to było jedno.

Kazia była jedną z pięciu niezamężnych córek niższego funkcjonariusza pocztowy i to najstarszą w tem gronie. Zbliżała się ona już do fatalnych dla panny lat trzydziestu. „Fafa morgana” obrączki ślubnej błysnęła kilka razy na jej panieńskim horyzoncie, ale zniknęło szybko, rozwiewało się w mgłę bez śladu. Równieśnice Kazi, których większość powychodziła za mąż, choć wiele było z pośród nich od niej brzydszych, orzekły, że Kazia ma „pecha”.

Nikt właściwie nie umiał określić, w czym leży przyczyna tego „pecha”. Albowiem zgrabna niebieskooka o bujnych, ciemnych, połyskliwych włosach i delikatnych rysach szatynka, zawsze słodko uśmiechnięta, sprawiała na pierwszy rzut oka wielce ujmujące wrażenie.

Pozbawiona głębszej inteligencji i wykształcenia posiadała jednak sporo istic kobiecego spryciku, który pozwalał jej wszystkie zalety prawdziwe i urojone prezentować zrećnie; w odpowiednio sprzyjającym świetle. A jednak nie umiała przytrzymać dotychczas nikogo, choć całą swoją pomysłowość i energię wytyczała w kierunku zdobycia męża, jakiegokolwiek męża, byle męża! Nie popychała ją do tego ani ekspansja zmysłów, ani tęsknota do domowego ogniska. Z natury była dość chłodnego temperamentu, swąd w kuchni rodzicielskiej obrzydził jej wszystkie znicze familijne. Chodziło jej o co innego: o pozycję towarzyską, o stanowisko kobiety zamężnej. Była bardzo ambitna, chorobliwie ambitna i nie chciała ustąpić kroku innym. Nie zdając sobie dokładnie i świadomie sprawy z tego, instynktownie czuła, że poczynając i starzec się przedwcześnie, że jeżeli teraz nie osiągnie swego celu, to już może nigdy.

Na Woźniewicza zwróciła od dawna uwagę. Wydał się jej zupełnie odpowiednim materiałem na męża. Chwiejny, bezwolny pozwalający wpływać na siebie nie umiałby się oprzeć sprytnie ułożonemu atakowi. Gdyby nie ta przekięta Stęfa... Nienawiść zapalała się w przejrzystych samych oczach Kazi, kiedy myślała o Łączkównie. A jednak ta swoim postępowaniem ułatwiała Kazi podjęcie działań strategicznych. I oto Kazia osądziła, że teraz nadszedł odpowiedni moment.

— Dziwne to — podjęła rozmowę panienka — że nieraz ludzie, którzy się bardzo mało znają, pociągani są ku sobie niewidzialną nicią sympatii agresywnej.

Kazia nie miała pojęcia dlaczego ta sym-

patya ma być właśnie agresywna, ale wyrażenie to podobało się jej niezmiernie.

— Nieprawdaż i pan to czuje? Ja wiem, że pan to czuje!...

— Tak jest — odparł machinalnie, myśląc o czym innym.

— Takie dwie wrażliwe, poetyczne, powiedziałyby szowinistyczne natury jak moja i pańska muszą się rozumieć!...

— Szowinistyczne? — dlaczego szowinistyczne? zadziwił się w duchu Woźniewicz, nie podejrzewając w prostocie serca, że Kazia nie rozumie wyrażenia których używa.

— A więc rozumiemy się. Powinniśmy od czasu do czasu widywać się z sobą, miałabym panu tyle do powiedzenia o sobie i mojej duszy i różnych „dygresjach”! A czy to prawda, że pańska mama jest hrabianką z domu? — rzuciła nagle zapytanie stonujące rzeczywiście dygresję i to niespodziewaną.

Woźniewicz popatrzył na nią ze wzrastającym zdziwieniem.

— Prawda — rzekł — a dlaczego pani o to pyta?

— O! bo pan ma w sobie coś dziwnie dystygowanego, arystokratycznego. To tylko ja jedna umiem odczuć to pośród tej całej hałasty!...

Wydeła pogardliwie różowe uszczka, zapominając, aby się jej wymknęło słowo tak trywialne, jak hałasta.

— Kiedyż się zatem spotkamy jutro?

Woźniewicz nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Nie rozumiał zupełnie, dlaczego się ma z Kazią, spotykać skoro nie ma do niej żadnego interesu, a jednocześnie był tak skromny, naiwny, nie przywykły do zabiegów ze strony kobiet, że mu ani przez głowę nie przeszło, iż Kazia „leci” na niego. Stęfa swoim maltretującym obejściem oduczyła go gruntownie wszelkiej męskiej zarozumiałości.

Jakże tu jednak powiedzieć kobiecie „nie spotkamy się wcale”, kiedy ona o tem mówi, jako o rzeczy przesądzonej.

— Kiedy pani rozkaże.

— Zatem jutro o trzeciej w cukierni Rolifskiego. Tam tak zacisznie, ładnie, renesansowo...

Woźniewicz znowu nie mógł się zorientować, co renesansowego widzi panna Kazia w beztylej zgola, banalnie po wiedeńsku urządzonej cukierni. Ale nie chciało mu się pytać, dochodzić i protestować, więc zgodził się potulnie: — Dobrze. Stawię się.

Przechodzili w tej chwili koło wielkiej kawiarni narożnej. Za szybą, popijając czekoladę i zającąc się ciastkami z kremem, siedziała Stęfa Łączkówna. Rozglądając się wokół, rzuciła wzrokiem na ulicę i zobaczyła Kazię, idącą pod rękę z Julianem, poufale ku niemu nachyloną i słodko uśmiechniętą. Zawrzało w niej nagłe złością. Nie dbała wprowadzić zupełnie o Woźniewicza, nie kochała go i nie umiała ocenić ani jego uczucia, ani niezwyklej prawości. Uważała go za śmieszego nieładnego chłopca, który niczego się w życiu nie dobił. Ale przywykła do jego niewolniczości, ślepej, bezwzględnie wiernej miłości i bałwochwalczego uwielbienia. Nie miała bynajmniej ochoty ustępować tego Kazi, co za swoją własność poczytywała.

— Dam ja jej! pokażę tej nadętej peroneli — postanowiła od razu — będzie się miała spyszna.

Nie troszcząc się o to, co sobie o niej kelnerzy i goście kawiarniani pomyślą, zerwała się od stolika, rzuciła niedojedzone ciastko i wybiegła na ulicę. Oczy jej błyszczały zielono i drapieżnie. Przypominała istotnie panterę, gotową do skoku. Zgóry pastwiła się nad pogiębioną rywalką do serca mężczyzny, który dla niej samej był niczem.

— Panie Julku! — zawołała, oddychając szybko — proszę iść ze mną na czekoladę. Ja tu czekam na pana

Kazię ignorowała kompletnie, tak, jakby tamtej wcale nie dostrzegła.

Julian pokraśniał naprzód jak piwonja, a potem stał się blade-zielony, aby znowu na sekundę oblać się krwią rumieć. Pierwszym jego odruchem była chęć uwolnienia ramienia od Kazi, ale ta przytrzymała go mocno.

— Co za bezczelność!... coś podobnego popęlić może tylko osoba bez wychowania i estetyki!... chodźmy, panie Julianie!...

Gwałtem niemal usiłowała pociągnąć za sobą Woźniewicza, który w tej chwili miał minę nieskończonego przestraszonego i głupia. Nie przeszło mu przez myśl opierać się woli Stefę, jednocześnie zaś wrodzona jego uprzejmość nie

pozwalala obrazić Kazi, dopiero co dla niego tak łaskawej.

— Możebyśmy wstąpili na czekoladę we troje — wyjąkał niepewnie, przeczuwając, że ani jedna, ani druga na ten kompromisowy projekt nie przystanie.

— Co! — syknęła Kazia, zółta z gniewu — ja bym miała pokazywać się publicznie w towarzystwie tej panny!... nigdy!... ubliżyłabym sobie!

— Panie Julianie, ona mnie obraża.

— Pani nie masz manier ani wstydu!

— Ależżo mam coś lepszego!... i nie go nie tak jak pani za chłopcem, któryby się na mnie ani patrzeć nie chciał!

Mówiły tak głośno, że ten i ów przechodzień zaczynał zwracać uwagę na tę awanturę. Woźniewicz czuł się jak na mękach, ale nie miał pojęcia, jak zakończyć tę skandaliczną scenę.

— Panie Julku, mówię ostatni raz, albo pan idzie ze mną teraz, albo więcej się do pana słowa nie odezwę! Rozumie pan!...

— Pan Woźniewicz jest zbyt dystygowany, aby miał uleść takim ordynarym!...

Kazia nie dokończyła jeszcze tego co miała powiedzieć, gdy już przekonała się, że i „dystygowany” mężczyzna n'e oprze się rozkazowi kobiety, która nad nim władzę posiadała.

Julian energicznie uwolnił swe ramię i skłoniwszy się krótko przed Kazią, rzekł spiesźnie.

— Pani wybacz, ale ja muszę... — i pobiegł za Stefą, zanoszącą się od śmiechu.

— Ależżo minę!... a tom jej pieprzu w nos natarła! Pan wie, ona sobie pana chciała złapać na męża, ale z pana to taka fujara, że pan by się spostrzegł dopiero po ślubie.

— Panno Stęfo, pani wie, że ja oprócz pani żadnej kobiety!...

— Ależżo wiem, wiem... Naturalnie, że pana Kazka przemocą zataaszczyła. Gdzieby się tam pan umiał sam przystawić. Niech pan każe podać pysie z kremem i czekoladę.

Stęfa pochłonięła jeszcze kilka ciastek, filiżankę czekolady i dwie szklanki wody ze sokiem poczem oświadczyła:

— Mam dosyć! niech pan zapłaci.

— Woźniewicz sięgnął do portfela, gdzie chował mizerne reszki swojej pensji. Przez mózg przeleciało mu przypomnienie, że matka upominała się wczoraj o pieniądze na utrzymanie.

Stęfa owinęła lisem nieco zrudziałym szyję i opuściła kawiarnię, nie zapraszając nawet Woźniewicza, aby szedł z nią. Na odchodnym zamieniła wymowne spojrzanie z jakimś przystojnym oficerem od ułanów.

— Mogę panią odprowadzić? — zapytał nieśmiało Woźniewicz, gdy się znaleźli na ulicy.

— Niech się panu ani nie śni! może sobie teraz pan iść, gdzie się panu podoba, choćby do Kazi! żegnam.

I zwinna, zgrabna odbiegła, nie podawszy mu nawet ręki.

ROZDZIAŁ III.

— Stęfa wstawaj no! już po 8-mej, spóźnisz się do biura!...

Łączkowa twarda, spracowana ręką targnęła białe, pulchne ramię córk zakopanej w pościeli. Jasne włosy opadały w nieładzie na twarz i szyję, wysoka jedyna pierś podnosiła się równym miarowym oddechem. Stęfa spała twardo i matka musiała powtórzyć kilkakrotnie swoje zabiegi budzenia, zanim dziewczyna na wpół otworzyła leniwe, ciężkie ze snu powieki.

— Co? co? — zapytała niezupełnie jeszcze przytomnie.

— Wstawaj! już czas do biura.

Stęfa szarpnęła się opornie i obróciła się na drugi bok, zamierzając spać dalej.

— Daj mi tam mama spokój! co mi tam biuro. Spać mi się chce — tuliła się pod kołdrę jak senna kotka.

Ale Łączkowa nie ustępowała:

— Mówię ci, wstawaj bo czas! nie będziesz spała do południa, kiedy biuro czeka!... A po nocach się nie włócz, to ci się rano nie będzie chciało spać! Gdzieś wczoraj była do trzeciej godziny? co? Wstań mi w tej chwili, bo cię zimną wodą obleję!...

— O jej mama zawsze awantury o byle co wyprawia!...

Stęfa ociężale odrzuciła pierzynę, poczem z wolna leniwie spuściła nogi z łóżka i zaczęła wdziwać pończochy.

ciąg dalszy nastąpi).